



Rowerowe wakacje

Tak to się zaczęło

Nasze rowery kupiliśmy w 1969 roku, dwa miesiące po naszym ślubie, kiedy to Romek rozpoczął pracę, jako nauczyciel. Jego rower kosztował akurat tyle, ile wynosiło jego ówczesne uposażenie, mój kosztował tyle, ile zarabiałam jako młodszy referent w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej.

Nie pamiętam czym kierowaliśmy się, kupując te właśnie rowery, może tym, że były one do siebie podobne: on – męski rower to OLIMP, ona „damka” to OLIMPIA, takie były białe napisy na bordowych ramach rowerów. Wyprodukowano je w ZPZ MESKO w Skarżysku rok produkcji 1969.

W tym czasie panowała moda na składaki. Na składak trzeba było czekać, polować na dostawę, ustawić się w kolejce. Bałam się, że nie dostaniemy dwóch jednakowych, Romek obstawał koniecznie przy „normalnych” rowerach. Te rowery były w bieżącej sprzedaży i wyglądały też jak „małżeństwo”. Mieszkaliśmy wtedy na Śląsku u moich rodziców. Gdy kończyliśmy pracę, zjadaliśmy obiad, przygotowany przez mamę i wyruszyliśmy poza miasto. Najpierw były to krótkie wypadki, ale gdy czasu wolnego mieliśmy nieco więcej, jechaliśmy z Bytomia do Chechła nad wodę, było to około 30 kilometrów. Któregoś dnia Romek zapytał:



– *Słuchaj, a jakby tak nie jechać te 30 kilometrów w tę i 30 z powrotem, ale tylko do przodu 60 kilometrów?*

– *Jak to do przodu? - Nie rozumiałam – A gdzie będziemy spać ?*

– *No, na przykład na campingach, albo w schroniskach PTSM – głośno myślał Romek.*

– *No, ale przecież trzeba byłoby wziąć jakiś bagaż, coś do przebrania, peleryny, dodatkowe buty, do czego to spakujesz? – chciałam wiedzieć.*

Takie mniej więcej wiedliśmy rozmowy, gdy zaczęliśmy planować nasze rowerowe wakacje. Wtedy ważyłam 47 kilogramów. Gdy mój tato usłyszał o naszych planach po raz pierwszy, nie posiadał się z radości, twierdząc, że co 50 kilometrów będę chudła 1 kilogram, to gdy będziemy dojeżdżali do Gdyni, Romek zamiast jadącej za nim Marylki, zobaczy sam rower z

obracającymi się pedałami. Pokpiwał, niczym Wańkowicz ze swoich córek, „koci ogon” i „brekekeks”.

Problem bagaży rozwiązał się niebawem, gdy mama w Teleranku zobaczyła pana Adama Słodowego, demonstrującego jak wykonać rowerowe sakwy. Natychmiast zrobiłam odpowiednie rysunki, kupiliśmy skórę, uszyłam sakwy według wskazań pierwszego w Polsce majsterkowicza, Romek przymocował je śrubami do osi koła i nasza pierwsza wyprawa stawała się realniejsza. Jak już wspomniałam, celem naszej podróży miała być Gdynia.

Planowanie drogi

Teraz rozpoczęło się planowanie drogi, noclegów i t p. Zabawialiśmy się tak w długie jesienne i zimowe wieczory. Były też konsultacje z bliskimi, jaką drogę wybrać. Pamiętam, pytaliśmy o jakość drogi z Piekar Śląskich do Kamienicy Śląskiej. Nikt nie powiedział, żeby zrezygnować z tej drogi, wręcz przeciwnie, wszyscy zgodnie twierdzili, że to odpowiednia droga na rower. Jak się potem okazało, nawierzchnia jej, to kocie łby i brak utwardzonych poboczy; należało zatem jechać powoli, ostrożnie, no i w niewygodzie. To nauczyło nas, aby nie pytać „Czy jest to odpowiednia droga na rower?”, ale jaka jest nawierzchnia drogi, bo najczęściej okazuje się, że według informujących, dla roweru każda droga jest odpowiednia, niezależnie od rodzaju jej nawierzchni, błota, kałuż, piasku. Poza tym często ktoś chce nas skierować na drogę „lepszą”, czyli krótszą, o lepszej nawierzchni, ale bardziej uczęszczaną, pełną spalin i hałasu.

Zaproponowanym przez kogoś skrótem, męczyliśmy się, taszcząc objuczone rowery, po obsuwających się ze stromego zbocza kamieniach. Można było jechać asfaltową, wygodną drogą odcinek siedmiokilometrowy, niż wpakować się w dwukilometrowy skrót, który na długo pozostawił ślady w postaci drżenia kończyn, po bezustannym uważaniu, by się nie obsunąć razem z rowerem w dół.

Najlepsze są oczywiście mapy dokładne, tak zwane wojskowe, ale jeśli ich nie ma, najlepiej używać map samochodowych, na których zaznaczona cienką niteczką droga trzeciorzędna, jest z całą pewnością przejezdna. Są też mapy regionalne, obejmujące województwo, lub kilka gmin, ale te, mimo wyszczególnionych na nich wielkiej ilości dróg, nie dają obrazu, po jakiej drodze będziemy jechać.

Na ogół wszystkie drogi, poza głównymi, zaznaczone są jednym kolorem, ale nic nam nie mówią o nawierzchni. Dobrze jechać po asfalcie, bardzo dobra też jest bita droga, prowadząca wśród pól, łąk, lasów, ale jeżeli nie jesteś pewien czy w lesie, czy szczerym polu, będzie ustawiony drogowskaz, lepiej zrezygnuj z tej drogi, bo najprawdopodobniej drogowskazu nie znajdziesz, a nie chcąc się cofać, grzęzniesz jeszcze bardziej, nie masz kogo zapytać o kierunek, zaczynasz się denerwować, a przecież Twoja wyprawa ma być przyjemnością, a nie stresem.

Jeżeli wyprawa jest partnerska, to należy uzgodnić wcześniej swoje stanowiska, żeby nie było potem gadania typu „a nie mówiłam?”. Jeżeli jedziecie większą grupą, to tylko jedna lub dwie osoby powinny mieć głos decydujący, reszta musi się podporządkować. I tak nigdy nie dojdziemy, co w danej sytuacji byłoby najlepsze.

Tak było dawniej

Nasze wyprawy rozpoczęliśmy w 1971 roku. Było to zupełnie inne podróżowanie niż dziś. Wtedy nie mieliśmy tych dylematów, którą drogę wybrać, można było jechać każdą drogą, zaznaczoną na mapie. Samochodów było dużo mniej, kierowcy zwracali większą uwagę na rowerzystów, bo prawdopodobnie sami jeździli też na rowerach; tak, było zupełnie inaczej. Inna sprawa, to tacy rowerzyści jak my, nie trafiali się często. Zwracaliśmy uwagę okazałymi bagażami, widać było, że to nie wypad poza miasto, ale prawdziwa wyprawa. Traktowano nas z szacunkiem, tak przynajmniej nam się wydawało.

Do najgorszych ówczesnych błędów kierowców wobec nas rowerzystów, należało trąbienie. Dobrze, jeśli dawano sygnał z daleka, gorzej, gdy trąbiono w czasie wyprzedzania. Kierownica nieomal wypadła z rąk, lub gwałtownie odbijała w bok i wywrotka gotowa. Często też wskutek wyprzedzania na trzeciego, trzeba było ewakuować się do rowu, ale takie grzechy mają również na sumieniu i dzisiejsi kierowcy, z tą różnicą, że dzisiejsi, mają jeszcze powód do radości, gdy rowerzysta, za jego sprawą, znajdzie się w rowie.

Ciągle się uczymy

Generalnie nie narzekamy, uczymy się spokoju, staramy się być cierpliwi i wyrozumiali dla poczynań niektórych „kozaków” na naszych drogach. Cierpliwości nauczyliśmy się od Szwedów, którzy nigdzie się nie spieszą. Samochody jadą jeden za drugim, niczym paciorki nanizane na nitkę, nikt nikogo nie wyprzedza, nie robi zwodów. Podczas wyprzedzania rowerzysty, kierowca robi to w dużej odległości, natomiast pojazd jadący z przeciwka, usuwa się do swojej krawędzi jezdni. Duńczycy postępują podobnie, chociaż w Danii jest tyle ścieżek rowerowych, że nie sposób doprowadzić do kolizji. Kilkakrotnie zdarzyło nam się zatrzymać przed skrzyżowaniem ścieżki rowerowej z jezdnią, żeby na mapie sprawdzić, w jakim kierunku dalej jechać. Kierowcy, widząc, że dojeżdżamy do skrzyżowania, zatrzymywali się również, abyśmy mogli przejechać bezpiecznie na drugą stronę. Piszę o tym dlatego, ponieważ często nie uświadamiamy sobie naszego polskiego kozaczego ducha. Spieszymy się za wszelką cenę, aby przejechać przez skrzyżowanie, jakby zielone światło zapalało się tylko trzy razy dziennie. Kierowcom przeszkadzają rowerzyści, a rowerzysta wolałby jechać ścieżką rowerową, cóż kiedy jej nie ma. Z drugiej strony, gdy jedziemy ścieżką, gdzie odbywa się ruch pieszy, to często jest tak, że przeszkadzamy teraz pieszym, bo oni zapominają o wytyczonym dla rowerzysty torze i właśnie tam chodzą. Niestety bywa i tak, że na ścieżce szaleją rowerzyści, dzwonią, by zejść im z drogi, robią zwody, stwarzając zagrożenie dla pieszych, a przecież wystarczy trochę życzliwości i zrozumienia ze strony wszystkich użytkowników, a będziemy mieli bajkowe życie, a nie udrękę.

Przygotowanie formy

Często spotykamy się ze zdziwieniem znajomych, przyjaciół, którzy zazdroszczą nam albo kondycji, albo odwagi do uprawiania turystyki rowerowej. Wydaje im się, że robimy coś nadzwyczajnego. Okazuje się jednak, że przygotowanie rowerowej wyprawy wcale nie jest takie trudne. Ludziom wydaje się, że trzeba solidnie przygotować się kondycyjnie, jeździć

wcześniej nie wiadomo ile, tymczasem znam również takich, którzy wyruszają w drogę po dwutygodniowym treningu. Taki trening obejmował najpierw krótkie spacery rowerowe, długości pięciu, dziesięciu kilometrów, po dwóch, trzech dniach trasę wydłuża się o kolejne pięć kilometrów.

Dziecko potrafi

Przygotowując w 1995 roku naszą jedenastoletnią wówczas córkę do wakacyjnej wyprawy, jeździliśmy na krótkie wypady poza miasto od kwietnia do lipca, a gdy przyszło do realizacji naszej podróży, nie miała większych problemów z kondycją. Miała co prawda momenty załamania, nie chciała jechać, bo upał, bo pod górę, bo daleko itd., ale po odpoczynku dzielnie jechała dalej, w efekcie przejechała trasę długości dziewięciuset kilometrów w ciągu piętnastu dni na rowerze młodzieżowym, bez przerw.

Ponadto, pracując z dziećmi i młodzieżą, jeździmy z nimi na wycieczki i obserwujemy ich zachowanie. Po latach doświadczeń, nie uprzedzamy dzieci ile kilometrów przejedziemy. Gdy mówiliśmy początkowo jaką trasę zaplanowaliśmy i gdy było to trzydzieści kilometrów, nie miałam chętnych na wycieczki, ale gdy miał to być spacer rowerowy, to dzieciaki zgłaszały się masowo. Na koniec też nie mówiliśmy ile kilometrów przejechaliśmy, bo potem i rodzice byli przerażeni.

Tymczasem dzieci szybko się męczą, ale jeszcze szybciej odpoczywają. Po krótkim odpoczynku, zjedzeniu kromki chleba, czy owocu, nabierają siły i za moment można kontynuować drogę. W ciągu roku szkolnego dzieci z kółka rowerowego przejeżdżały w czasie sobotnich wycieczek ponad pięćset kilometrów. Dzieci jeżdżące po swoim osiedlu nie mają problemów z kondycją, trochę inaczej jest z dyscypliną, ale z tym nauczyciel potrafi sobie poradzić, gdy wycieczka jest ciekawa, a dziecko żądne nowych wrażeń.

To nie takie trudne...

Jeśli umiesz jeździć na rowerze i chcesz spędzić fantastyczny urlop, to tylko trzeba się odważyć. Rowerowe wakacje za granicą są łatwiejsze niż w Polsce, jeśli masz pieniądze i znasz język. A jeśli nawet nie znasz języka, też można wszystko załatwić, bo tam zależy, aby na turyście zarobić.

Turysta musi spać, wobec tego demonstruje, jakie są jego potrzeby i na przykład składa łapki jak do modlitwy, zbliża je do policzka i już wszyscy wiedzą, że turysta pyta o nocleg. Na palcach można pokazać ile osób jest razem z Tobą, jeszcze najlepiej pisemnie uzgodnić cenę. Jeśli jest to kwatera prywatna, można się potargować np. właściciel pisze cenę pokoju 450 tych „ichnich złotych”, Ty to skreślasz i piszesz 350, po czym właściciel pisze 400, to Ty jeszcze próbujesz 375 i w końcu dochodzicie do zadawalającej obie strony ceny za nocleg.

Wyposażenie rowerzysty

Ekwipunek rowerzysty - ważna rzecz. Najlepsze sakwy rowerowe, to takie, które można łatwo zdejmować z roweru każdego dnia i równie łatwo i szybko założyć na rower dnia następnego. Najłatwiej zainstalować sakwy na haki, zawieszane na bagażniku z dodatkowym mocowaniem

od strony osi koła. Jeżeli sakwy nie można łatwo zdjąć, to czeka nas każdorazowe narzekanie i opóźnianie wyjazdu, bo ktoś się jeszcze nie „zatroczył”.

Mieliśmy kiedyś takie sakwy, których zainstalowanie na rowerze trwało ponad pół godziny. Wtedy, gdy trzeba było je szybko zdjąć, bo przykładowo przewoźnik nie odpowiada za bagaż pozostawiony na rowerze, albo też objuczony rower zajmuje zbyt dużo miejsca, przeżywaliśmy okropne chwile.

Dobra sakwa powinna też być wyposażona w ucho do noszenia w rękę, co ułatwia jej transportowanie poza rowerem. Jeżeli materiał, z którego jest uszyta nie przepuszcza deszczu, to jesteś wygrany, jeśli przemaka, to koniecznie trzeba pakować ubrania, pościel, bieliznę w woreczki foliowe, ale to nic przyjemnego, rozpakowywanie wilgotnych worków. Dobre są foliowe, albo ortalionowe pokrowce przeciwdeszczowe, zakładane na bagaż, ale najskuteczniejszą ochroną przeciwdeszczową są worki na śmieci zawiązywane na sakwie. Te mają tylko tę wadę, że szybko się dziurawią i trzeba je zmieniać na nowe, jeśli dziury są znaczne.

Kurtki przeciwdeszczowe i spodnie powinny być lekkie, najlepsze takie, które pozwalają ciału oddychać i nie powodują nadmiernego pocenia się. Kurtka koniecznie z kapturem, pod który dobrze jest założyć czapkę z daszkiem [kask - *przyp. red.*], bo oczy są wtedy skutecznie chronione przed dokuczliwymi kroplami deszczu, a jest wręcz nieodzowna, jeśli rowerzysta używa okularów.

Czapka z daszkiem pod kapturem, zawiązanym pod brodą, ma jeszcze tę zaletę, że możemy odwracać głowę na boki i kaptur nie zasłania nam widoczności. Świetne są też ochraniacze przeciwdeszczowe, zakładane na buty, ale są paskudnie drogie.

Mamy na ogół nadzwyczajne szczęście, jeśli chodzi o pogodę, ale bywają dni, że nie ma zmiłuj się i jeśli nie masz właściwego stroju, to siadaj i płacz. Jeśli jesteś właściwie ubrany, to żaden deszcz nie straszny, a napotkanym, zdziwionym ludziom mówisz z uśmiechem „Przynajmniej się nie kurzy...”.

Odbiór wrażeń

Czym różni się jazda rowerem od jazdy innymi pojazdami? Różnica nie polega tylko na tym, że używasz siły własnych mięśni, ani na tym, że jedziesz wolniej; to przede wszystkim różnica w rejestrowaniu i odbieraniu wrażeń. Jadąc na rowerze możesz się rozsmakowywać w przyjemnościach, których wkoło jest aż tyle!

Nie wszyscy uświadamiamy sobie, ile wkoło nas dzieje się spraw, na które niekiedy nie zwracamy uwagi natychmiast, ale zapisujemy i przechowujemy gdzieś w pamięci, uwrażliwiając się na to fascynujące piękno, które jest w zasięgu naszych rąk, naszych oczu, naszych zmysłów. Nieraz jest to pajęczyna rozświetlona słońcem, rozwieszona między gałązkami, przybrana perełkami rosy, a to mieniące się w słońcu żdźbła traw, przemykająca obok drogi spłoszona jaszczurka, radosne przekomarzenia się ptaków, parująca ciepłem leśna droga, to wszystko nam towarzyszy, zauważamy to, nawet jeśli nie mówimy o tym głośno.

Pytają nas ludzie, co jest ciekawego w tym jeżdżeniu na rowerze, a ja nie potrafię wyjaśnić, bo jak wyjaśnić coś, co się wydarza, ale nigdy nie wiemy, ani co zobaczymy, ani czego doznamy. Ot, jakiś drobiazg, na który nie zwrócilibyśmy uwagi, gdyby nie to, że właśnie jedziemy rowerem. Bo kto zwróciłby uwagę na głos, niby wyśmiewającego się z nas ptaka w momencie, gdy ciężko podjechać pod górę, a wyraźnie słychać skrzeczący głos wrony, zamieniony na tę chwilę w ironiczny śmiech „haaa, haaa, haaa”. Mobilizujesz wtedy siły, żeby ten wyśmiewający się z ciebie ptak, nareszcie zamknął dziób i przestał się wreszcie śmiać, bo to tylko chwilowa słabość...

Uwielbiam spontaniczne, szczere, niespodziewane okrzyki dzieci, a to zachwyt, a to groza, a to zdziwienie, że tak pięknie, że tak cudnie, a co tak straaaaasznie śmieeerdzi ??? !!! Dorośli krępują się wyrażać swoich zachwytów, czy zdziwień głośno, chyba, że po kilku wycieczkach zauważą, że nikt z nich nie będzie kpił, ani się wyśmiewał, bo wszyscy chłoną to, co dzieje się dookoła, każdy na swój własny użytek. Jedni po cichutku, inni głośno, uświadamiając jeszcze innym, że widzą i słyszą to samo, a jeśli ktoś tego nie zauważył wcześniej, to następnym razem, będzie się baczniej przyglądał.

Co kto lubi ?

Z tym rejestrowaniem wrażeń jest podobnie jak z motywacją zwiedzania. Spotykaliśmy po drodze takich turystów, którzy całą drogę mieli opracowaną w każdym, najdrobniejszym detalu. Wiedzieli, czego się spodziewać, czego szukać, na co zwrócić uwagę. Na polach Grunwaldu spotkaliśmy rowerzystę z Puław, którego poznaliśmy dwa dni wcześniej w schronisku młodzieżowym w Iławie.

Ten pan, opowiadał nam o bitwie pod Grunwaldem w taki sposób, jakby osobiście brał udział w walce 14 lipca 1410 r. pod wodzą króla Władysława Jagiełły, zwracał naszą uwagę na wszystkie rzeczy godne uwagi, opowiadając o rozlokowaniu wojsk, o uzbrojeniu, o stratach w ludziach i innych interesujących sprawach, związanych z bitwą.

Kiedyś, wracając promem ze Szwecji dzieliliśmy się wrażeniami z turystami z Gdańska, którzy podobnie jak my, byli wcześniej w Norwegii w Oslo. Od nas dowiedzieli się o istnieniu parku Vigellanda w tym mieście i wcale nie zmartwili się, że go nie widzieli, będą mieli pretekst, by wrócić tam ponownie za jakiś czas, bo wszystkiego od razu zobaczyć się nie da.

Innych rowerzystów, bardziej niż zabytki kultury, interesuje przyroda, a jeszcze innych ludzie. Każdy ma swoją własną koncepcję zwiedzania i przeżywania tego, co oglądał. Tak samo może cieszyć jednych oglądanie obrazów impresjonistów w największych galeriach świata, innych największy zbiór motyli w muzeum przyrodniczym na Bornholmie, jeszcze innych fascynujące kształty skał na północnym wybrzeżu Gotlandii.

Jak kto lubi

Jednych pasjonuje przygotowywanie trasy, a potem realizowanie jej, inni biorą udział w tym, co wcześniej zaplanował ktoś inny. Młodzież preferuje trudne drogi leśne, bezdroża, miejsca gdzie diabeł mówi dobranoc, dorośli wolą wygodną drogę tylko dla rowerów. Piękne jest to, że mamy różne motywy, ale łączy nas dwukołowy pojazd jednośladowy. Jakie zalety zdrowotne

posiada rower, o tym wcale mówić nie będę, bo to każdy wie i żaden stacjonarny rower nie zastąpi zwykłego. Wśród naszych rowerowych znajomych mamy wielu takich, którzy są po zawałach, wylewach i innych bardzo poważnych przejściach i twierdzą, że nie ma lepszego lekarstwa niż rower.

Razem, czy osobno ?

Są tacy, którzy wolą jazdę w dużych grupach, inni w mniejszych, a są też samotni jeźdźcy, którzy tylko od czasu do czasu dołączają do grupy, aby wymienić doświadczenia, zasięgnąć rady, porozmawiać na interesujące nas, rowerowo-turystyczne tematy. Jeżeli mamy już opracowaną wakacyjną drogę, zaplanowane noclegi i właściwy ekwipunek zainstalowany na doskonale przygotowanym rowerze, nie zapominając również o zapasowych dętkach, wentylach, łątkach no i narzędziach, możemy wyruszać w drogę.

Gwarantujemy wspaniałe wakacje, z których przywieziesz cały ogromny wór wrażeń. Będą zdarzały się zabawne sytuacje, spotkania z ciekawymi ludźmi, a możesz spotkać ich dosłownie wszędzie. Jednych planów może nie uda się zrealizować, ale w zamian za to znajdziesz coś innego, co zachwyci, zainteresuje, zainspiruje, może do innej wyprawy w miejsca, o których wcześniej nie słyszałeś, nie marzyłeś?

Jeśli zabierzesz ze sobą aparat fotograficzny, czy kamerę, przyjemnie będzie można wspominać przebytą drogę w długie, zimowe wieczory, będzie się czym pochwalić przyjaciółom, lub zainspirować ich zorganizowaniem podobnej wyprawy. Pogoda odpowiednia na rower to taka, kiedy nie pada deszcz i nie wieje, chyba że wieje w plecy. Przed jednym z naszych wakacyjnych wyjazdów, nie mogąc doczekać się właściwej pogody, wyruszyliśmy, mimo padającego deszczu. Jechaliśmy z Bytomia do Gdyni. W deszczu przejechaliśmy trasę z Bytomia do Tarnowskich Gór, ale dalej, w kierunku zgodnym z naszym kierunkiem jazdy, zauważyliśmy jasne niebo, wobec tego z optymizmem zaczęliśmy gonić tę słoneczną plamę. Po kilkunastominutowej pogoni udało nam się dojechać do miejsca, gdzie deszcz już nie padał.

Gdy przyjechaliśmy do Kluczborka, kierownik schroniska dziwił się, jak mogliśmy dojechać w takiej ulewie, bo tu na miejscu pada od samego rana, dopiero teraz przestało i zaświeciło słońce. Taka właśnie pogoda towarzyszyła nam do samego końca naszej wyprawy, czyli do samej Gdyni. Wszyscy narzekali, że wciąż pada, a nas prowadziła słoneczna ochrona, byliśmy opaleni, bo słońce nam wciąż towarzyszyło. Na ogół taką rewelacyjną pogodę mieliśmy zawsze, z niewielkimi odstępstwami, ale i na taką ewentualność jesteśmy dobrze przygotowani.

To było zabawne

Wjeżdżamy do miejscowości o nazwie Raszków. Ogromna tablica przed wjazdem do miasteczka informuje: „550 lat Raszkowa”, a mnie się wydaje, że tę nazwę znam. Może z historii? Konsultuję to z Romkiem, potwierdza, że i jemu nazwa nie jest obca, niestety również nie pamięta skąd ją zna. Rom zatrzymuje się, by sfotografować coś, co go w tej chwili zainteresowało, a ja nie mogąc przypomnieć sobie, skąd znana mi jest nazwa tej

miejsowości, podjeżdżam do ogrodzenia, za którym widzę jakiegoś starszego pana i pytam: „- Proszę pana, co tu się wydarzyło w Raszkowie? Czy była tu jakaś bitwa ...?” „- Ale, gdzie tam, byłem dzisiaj w sklepie, nikt się nie bił i nic nie mówili, żeby była jakaś bitwa...”. Dopiero po jakimś czasie przypomniałam sobie skąd znany mi był Raszków! Z Sienkiewicza! To do Raszkowa miała towarzyszyć Basia Wołodyjowska Azji Tuhajbejowiczowi i Ewce Nowowiejskiej, jednak to był całkiem inny Raszków...

Siedzimy na skwerku w Pyskowicach, jedząc lody. Obok siedzi para motocyklistów, domyślamy się tego po ich ubiorach i kaskach, trzymany w ręku. W pewnej chwili podchodzi do nas on i pyta wyraźną gwarą śląską czy nie wiemy ile jest kilometrów do Turawy. Niestety nie wiemy „- Ale mamy mapę, może pan sprawdzić, ile to kilometrów” – proponuje mój mąż. Chłopak bierze mapę, sprawdza i zwraca się do swojej towarzyszk, składając i oddając nam mapę : „- E, to tylko kawałek, jakieś czterdzieści kilometrów!” „- Zupełnie inną miarą mierzycie drogę, dla nas te czterdzieści kilometrów do końca etapu, to byłby problem” mówię do chłopaka, biorąc od niego mapę. „- A skąd wy jedziecie ?” – zainteresował się nasz rozmówca, patrząc na rowery. „- Jedziemy dziś z Góry Świętej Anny, ale w ogóle wyruszyliśmy z Gdyni” „- I cołki czas na rowerach ?” - nie dowierza chłopak, a gdy potwierdzamy, ten wykrzykuje „- Piernika, to który to już rok jedziecie ?!” Młodzieniec nie posiada się z radości, gdy mówimy mu o naszej niespełna jedenastodniowej wyprawie, w jego oczach widać nieklamany zachwyt. „- Ty też jedziesz z nimi, sama, na własnym rowerze?” – zwraca się do naszej córki młodzian, a gdy Hania potwierdza, śmiejąc się, ten komentuje „- No, to chodź mała, od Achima dostaniesz taaaaka porcja lodów!”

Drugie śniadanie w parku w Lubawie. Na drzewach mnóstwo ptaków. Zgadujemy, jaki to ptak śpiewa: to kos, to wróbel, to gawron... „- A to krawiec ...” – zgaduje mój mąż, zadzierając głowę do góry. Patrzę na niego pytająco „- Bo się zaszył w zaroślach i go nie widać” – odpowiada na moje zdziwione spojrzenie.

Czego nam brakuje

Brakuje przede wszystkim ścieżek rowerowych, bezpiecznych, oddalonych od głównych, hałaśliwych tras samochodowych. Nieraz tak niewiele trzeba, aby powstała dobrze oznakowana droga rowerowa, ale za tym powinny iść też wznawiane co roku mapy z zaznaczonymi rowerowymi ścieżkami.

Świetnie oznakowane drogi rowerowe i aktualizowane mapy mają Duńczycy. Ideałem szczęścia jest Bornholm, gdzie na dobrą sprawę można się poruszać na rowerze nawet bez mapy. Trzeba pilnować jedynie zielonych tabliczek, umieszczonych na wysokości koła rowerowego, z nazwami miejscowości, do której droga prowadzi. Jeżeli na tabliczce jest napisane „SVANEKE 7,4 km”, to gdy odmierzysz tę odległość na swoim liczniku, a liczba kilometrów nie będzie się zgadzała ze wskazaniem tablicy, to znaczy, że musisz wyregulować swój licznik!

Duńczycy mają jeszcze inną doskonałą formę informacji wizualnej. Przy drodze stoją drogowskazy z charakterystycznym znaczkiem na niebieskim, zielonym lub pomarańczowym

tle. Ten znaczek oznacza, że jest do zobaczenia coś, co jest godne naszego zainteresowania. Niebieskie tło oznacza, że obok tego ciekawego miejsca można zaparkować samochód, zielone, że dojedziesz tam rowerem, a pomarańczowe, że dojedziesz tam tylko pieszo. Pilnując tych znaczków na Bornholmie widzieliśmy wszystkie miejsca, które były dostępne dla turystów podróżujących rowerami i samochodami (bo jeśli wjedzie tam samochód, to rower tym bardziej).

Jeden raz wydawało nam się, że możemy przejść ścieżką pieszą, prowadząc rower, ale tylko tak nam się wydawało. Jeśli ścieżka jest zaznaczona jako piesza, to można nią tylko przejść, chyba że rower będziesz nosić na własnych plecach, ale wtedy możesz nie przeskoczyć z kępki na kępkę, lub z kamyka na kamyk.

Brakuje nam też miejsc parkingowych do odpoczynku, gdzie można ze swoich sakw rowerowych wyjąć prowiant, termos, rozłożyć na stole serwetkę, i w przyzwoitych warunkach, przy akompaniamencie ptaków przygotować sobie śniadanie. Są takie miejsca parkingowe i w Polsce, najczęściej przy głównych, ruchliwych drogach, a takich dróg rowerzysta unika. Takie miejsca są często bez koszy na śmieci; mnie to nie szkodzi, bo jeśli mogłam przywieźć ze sobą, coś na parking rowerem, to mogę i wywieźć pozostałe po posiłku opakowania, woreczki, butelki, skórki po owocach itp., ale nie wszyscy potrafią po sobie posprzątać i takie miejsca wyglądają bardzo żałośnie i nieapetycznie.

W sklepie przy drodze pytamy czy np. jadąc w takim, a takim kierunku znajdziemy po drodze jakąś ławeczkę, bo chcielibyśmy zjeść śniadanie. „- Pani, to do rowu, w rowie najprzyjemniej!” – podpowiada życzliwie jakiś tubylec, inni patrzą na nas podejrzliwie jakby mówili „- Luksusów im się zachciewa!” Stolik pod sklepem nie jest zbyt dobrym miejscem do przygotowania posiłku, można przy nim zjeść ewentualnie przygotowane wcześniej kanapki, ale i tak czujemy się wtedy nieswojo, wzbudzając niejaką sensację w spokojnym miasteczku, czy wiosce. Mamy w Polsce tak wspaniałe miejsca, muzea, zabytki architektury, pamiątki, pomniki przyrody, ale jeśli nie masz ze sobą przewodnika, to najczęściej w tej miejscowości oprócz kościoła nie znajdziesz nic. Na większości kościołów jest tablica i zapisana na niej jego historia, która niekiedy uwzględnia również historię miejsca, w którym kościół się znajduje, ale nie zawsze. Jeżeli trafimy na jakiegoś życzliwego tubylca, to wskaże interesujące miejsca, ale nie zawsze się na takiego trafi.

Pamiętam byliśmy w Dobrzyniu nad Wisłą. Senne miasteczko, straszliwe bezrobocie, niezadowoleni ludzie. Siedząc w parku na ławce i spożywając śniadanie wprowadziliśmy jakieś ożywienie w monotonne życie miejscowości. Zagadnięty przez nas jakiś człowiek o ciekawe miejsca w okolicy obruszył się, na nasze pytanie nie odpowiedział i odszedł, coś pod nosem mamrocząc. Za chwilę podszedł inny mężczyzna, widocznie usłyszał od tamtego, o co go pytaliśmy i opowiedział nam historię, jakiej każdy chętnie by wysłuchał.

Otóż właśnie z Dobrzynia pochodziła Nawojka, pierwsza polska studentka, która pokonała wszystkie przeciwności, aby zdobyć wykształcenie. Na wysokim prawym brzegu Wisły, skąd rozlega się cudowny widok na ziemię kujawsko-mazowiecką, leży wielki kamień poświęcony

dzielnej panience z Dobrzynia nad Wisłą, Nawojce. Dlaczego takimi rzeczami nie potrafimy się chwalić?

Znaczek informacyjny, o którym wspominałam wyżej, w Danii rozwiązywał tyle spraw, chociaż w porównaniu z nami Duńczycy naprawdę niewiele mają do pokazania, ale potrafią wyeksponować wszystko, co uważają za godne uwagi. Nasz kraj pulsuje historią, ale gminy chyba o tym zapominają, nie dbając o turystę, który chętnie dowiedziałby się w jakim miejscu się znajduje, co może tu ciekawego zobaczyć, a przy okazji wyda tu trochę pieniędzy. Brakuje nam wreszcie noclegów, takich zwykłych, tanich, skromnych bez telewizorów, telefonów, komputerów i zbędnych luksusów. Wymagania rowerzystów są skromne i zasoby kieszeni także. Wystarczy, by się dobrze umyć i wygodnie wyspać. U nas wiele miejsc noclegowych nastawionych jest na zarobienie pieniędzy w jak najkrótszym czasie. Kiedyś istniała ogromna sieć schronisk młodzieżowych, dziś większość z nich pozamykano, jako że ponoć nie odpowiadała standardom europejskim, ale to nieprawda.

Widzieliśmy w centrum Oslo schronisko młodzieżowe, które wyglądało, jak bunkier. Było zlokalizowane w piwnicy, bez okien, materace gimnastyczne rozłożone na betonie. Gdyby w szkołach w salach gimnastycznych na drewnianej podłodze rozłożyć materace, koce, poduszki (wystarczyłyby jaśki) i do tego miejsce, gdzie można byłoby się umyć, to nic lepszego nie jest potrzebne, dobrze gdyby można jeszcze było zagotować wodę na herbatę i stolik do przygotowania posiłku. Jeżeli turysta ma własną pościel, płaciłby taniej, jeśli jej nie ma, drożej.

Oznakowanie dróg, zwłaszcza tych lokalnych również pozostawia wiele do życzenia.

Rowerzysta wybiera najchętniej właśnie drogi lokalne, wśród łąk, pól, prowadzące przez las, ale ile się niekiedy trzeba nabiedzić, w którą odnogę wjechać, by dojechać do zamierzonego celu? Takie drogi doskonale znają tubylcy, ale nie zawsze można się z nimi spotkać w miejscu, gdzie mamy wątpliwości, czy jedziemy właściwą drogą. Poszukiwania w środku lasu, na odludziu, gdy przykładowo zbliża się burza, to sytuacja, jakiej wolelibyśmy uniknąć.

Co nas denerwuje

Denerwuje nas i boli zaśmiecanie środowiska w taki bezmyślny i głupi sposób. W prześlicznym miejscu, nad jeziorem, czy w lesie lokują się panowie z piwem, rodziny z dziećmi i siatkami pełnymi jedzenia i wielkich plastikowych butli z napojami. Wybrali to miejsce, bo widocznie uważają je za ładne, podoba im się tu, chyba dlatego tu przyjechali. Przywieźli ze sobą te ciężkie butelki, opróżnili i wtedy, kiedy są już puste, a więc tak niewiele ważą, są takie lekkie... zostawiają to wszystko w tym prześlicznym miejscu, a gdy stąd wyjeżdżają, to miejsce nie jest już takie ładne. Wielkie stosy plastikowych butelek, siatek, rozbitego szkła, puszek, pozostają w tych pięknych miejscach, wystawiając świadectwo ludziom, którzy tu byli. Spotykaliśmy też panów, którzy przychodzili do lasu, wypijali po piwku, albo i po dwa, ale wszystko, co ze sobą przynieśli zabierali z powrotem, razem z kapslami od piwa i niedopałkami po wypalonych papierosach. Śmiecą ludzie dorośli, a nie dzieci. Dzieci, jeśli śmiecą, to robią to nieświadomie.

Na wycieczkę rowerową, dzieci zabierają ze sobą napoje w bidonach, ale gdy zabraknie im napoju, dokupują po drodze. Namawiam, żeby kupowały napoje w szklanych opakowaniach i przelały do bidonów, ale niekiedy dziecko się nie zgadza, woli wziąć ze sobą wielką butelkę plastikową. Trudno! Wypiło na ostatnim postoju, trzyma w ręku butelkę i rozglądając się po okolicy, pyta co ma z nią zrobić. Teraz ja pytam: „ - Gdzie miałeś tę butelkę do tej pory ?”, „ - W plecaku !” „ – To wpakuj ją z powrotem do plecaka.” „- Ale ona jest pusta...”, dziecko jest zdziwione, po co ma wieźć ze sobą pustą butelkę. Takie rzeczy łatwiej przyswajają sobie dzieci i młodzież właśnie na wycieczkach, w plenerze, trochę trudniej w szkole, ale sprawa jest beznadziejna, jeśli nie ma pomocy ze strony domu...



Na zakończenie o internecie

Od pewnego czasu, przygotowując rowerowe trasy, korzystamy z internetu. Znaleźć tu można prawie wszystko, gdy się wie, jak szukać. Planowanie wyprawy to dodatkowa przyjemność, a planowanie przy korzystaniu z internetu to po prostu bajka. Można wytyczyć trasę z dokładnością do jednego metra, znaleźć interesujące zabytki, noclegi. Internetowa brać nie ma sobie równej. Ileż emocji wkładają w tworzenie swoich stron internetowych i zapisują swoje wrażenia z podróży, wypraw, wspinaczek. Są to najczęściej młodzi ludzie, którym wciąż się chce coś robić, zwiedzać, wspinać, jeździć.

Dzięki internautom kilkakrotnie znajdowaliśmy niedrogie noclegi, mieliśmy prawdziwych przewodników po swoim mieście, czy okolicy. Tegoroczne wakacje 2004 r. obfitowały w takie nadzwyczajne spotkania z ludźmi, których wcześniej poznaliśmy dzięki internetowi, przygotowując naszą wakacyjną trasę. Od nich dowiadywaliśmy się najwięcej, jeśli sami niewiele wiedzieli, potrafili skierować nas we właściwym kierunku. Starzy i młodzi, wymieniają swoje doświadczenia, uczą się od siebie nawzajem.

Kopiowanie i publikowanie tylko na zasadach określonych przez redakcję Koła Roweru >>[zobacz](#).

Źródło: [Maryla Wolska](#)